



Marcin Kiszela

OSTATNI PROROK

 **GENIUS
CREATIONS**

Marcin Kiszela

**Ostatni
Prorok**



**GENIUS
CREATIONS**

SPIS TREŠCI

1994-1999	4
2022	44
2023	131
2031-∞	264

1994-1999

*Pull me out of the aircrash,
Pull me out of the lake,
'Cause I'm your superhero,
we are standing on the edge.*

Thom Yorke

13

Znam tę historię aż za dobrze, mimo że nie jest moja.

I gdyby teraz, po latach, ktoś spytał, co jest dla mnie najtrudniejsze, powiedziałbym: to, że jestem blisko, ale nigdy nie mam na nic wpływu, że widzę, słyszę i czuję wszystko, ale to są wyłącznie pożyczone obrazy, dźwięki i emocje.

Jestem całkiem sam i mogę się odnosić jedynie do przeszłości, dlatego najłatwiej mi będzie opowiadać za pomocą przeczeń, określać siebie przez to, co mi się nie przydarzyło.

Chociaż obecnie czas stracił znaczenie, postaram się zachować chronologię. Zaczynając od tego, jak się nie urodziłem.

12

Nie urodziłem się tamtej jesieni, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, w kraju zwanym Polską. Wtedy na świat przyszedł Damian, zakładam więc, że ten szczegół jest dla moich losów istotny.

Po raz pierwszy zobaczę Damiana w listopadzie roku 1994. Damian będzie miał wtedy siedem lat, co dla mnie jest bardzo abstrakcyjne, bo w mojej epoce czas płynie tak, jak chcę, sam go w końcu kontroluję. Mogę jutro mieć pięćdziesiąt lat albo sto, jeśli tylko zacznę się bawić opcjami chrono.

Tamten świat jest w moim zasięgu tylko od tego właśnie momentu, reszta przeszłości pozostaje mglista, trawiona przez zakłócenia. Wyłoniłem się znikąd w ciemny i wietrzny wieczór siódmym urodzin Damiana. Bagaż moich doświadczeń był zupełnie pusty, to Damian i jego przyjaciele napełnili go skrawkami własnych wspomnień, z których te właśnie zapisały się najwyraźniej.

Pojawiłem się nagle i bez zapowiedzi. Kim właściwie jestem? Nie duchem, to na pewno, duchów nie ma nawet teraz, gdy widzialne i niewidzialne, żywe i umarłe są obok siebie, jak ja i Damian.

Czym jestem?

Pamiętam dokładnie tamtą chwilę: ciemność przejścia i nagły błysk, jakby piorun rozszczępił się we mnie. Otworzyłem oczy, jednostajny pomruk w głowie brzmiał jak echo nawałnic. Krzyknąłem, nikt mnie nie usłyszał. Przestrzeń wokół nie była już tylko szumem zakłóceń, słyszałem słowa, przeistaczające się w ciała, widziałem ich kształty, czułem, jak nabierają ciężaru.

Wszystkie rzeczy wokół wydawały się nowe, ale z każdym mrugnięciem stawały się wyraźniejsze, bardziej trwałe i namacalne, choć tym samym nieosiągalne dla mnie.

Wtedy zobaczyłem go po raz pierwszy: na prostokątnym żółtozielonym dywanie siedział zapłakany siedmiolatek, który wypowiedział pierwsze zdanie, jakie usłyszałem:

– Musisz mi pomóc.

11

Mówił do mnie? Zdawał sobie sprawę z tego, że tam jestem? Na pewno wyczuł czyjąś obecność, nie wiedząc nawet, że od jego świata i czasu odgradza mnie przepaść tylu dekad.

Chciałem mu pomóc, ale nie byłem w stanie – ani wtedy, ani tym bardziej teraz.

Czułem to wszystko jednocześnie, jakbym był tym chłopcem i zarazem patrzył na niego z boku: łyza na policzkach, nos zatkany katarem, ucisk w obolałym od łkania gardle, sztywne włókna dywanu pod opuszkami palców, nacisk posiniaczonych kolan na podłogę.

Ciemnożółte światło lampy sprawiło, że widziałem tę scenę jak archiwalny film puszczonej z filtrem sepii. Chłopak był blady, ale ten przytłumiony blask sprawiał, że on i wszystko wokół przypominało odlew z wosku, wróżbę zastygłą w piwnicach pamięci.

Stało się coś złego i być może dlatego w umyśle Damiana to właśnie wspomnienie figurowało jako pierwsze.

– Ja nie chciałem...

Przed chłopcem leżała roztrzaskana zabawka. To była przywieziona z Niemiec plastikowa planeta. Na jej po-

wierzchni stał barczysty władca w koronie z kości, naramiennikach z czaszek, obdarzony groźnym spojrzeniem oczu odlanych w sztucznej masie. Zabawka wydawała się wytrzymała, pozory były jednak dalekie od prawdy.

Damian kilka minut wcześniej wspiął się na stolik. W wysoko uniesionej dłoni trzymał planetę i jej niepodzielnego władcę. Kierował go w stronę nieba, którym w wyobraźni dziecka stał się sufit pożółkły od papierosowego dymu i trującego blasku lampy. Planeta dryfowała w ciasnej przestrzeni małego pokoju, a chłopiec wydawał dźwięki brzmiące jak: szuuuu, szuuuu, szuuuu; bo nie wiedział, że w kosmosie nie słychać ani śpiewu planet, ani ludzkich wrzasków. W kosmosie każdy jest tak nieważki i bezdźwięczny jak ja.

Potem zachwiał się i spadł.

Trzasnęło, grymas przeszył twarz.

Obojczyk pękł, zabawka tak samo.

Beznogi władca przeturlał się po dywanie, już na wieki oderwany od swego królestwa.

Rozłupana planeta, z dwoma kikutami plastikowych łydek, w środku okazała się zupełnie czarna.

Chłopiec prawie nie czuł bólu. Tylko trochę go zemdliło. Za bardzo się zdenerwował, by móc rozczulać się nad sobą.

Ja za to wyobraziłem sobie, że wyraźnie czuję jego ból, bo to właśnie jest moja rola. Zamierzałem dzielić z Damianem wszystko, rozpoławiać każdą chwilę na dwa symetryczne momenty.

Dostał tę zabawkę zaledwie parę godzin wcześniej. Wtedy jeszcze kręciło go w nosie od dymu z siedmiu zdmuchniętych

na trzy raty świeczek. Ostry kawałek tortowej bezy wciąż tkwił w podniebieniu chłopca, raz po raz kłując język. Rodzice śpiewali głośno, za głośno:

– Niiieech żyyyyyje naaam!

Wstydział się przed innymi dziećmi, oczy mu się zaszklily, ale nie pisnął słowa. Zacisnął pięści, przełknął ślinę. Dorośli wszystko psują, myślał, nie zdając sobie sprawy, jak szybko przyjdzie jego kolej.

Potem się bawili i było świetnie. Przyszli Piotrek i Ksawery z osiedla, a także Michał z klasy. Ale najważniejsza tamtego wieczoru była ta planeta, wokół niej właśnie chłopcy biegali najzwawiej, jakby byli jej bladymi, nie do końca jeszcze ukształtowanymi księżycami.

To była najlepsza zabawka Damiana, natychmiastowo ulubiona. Na dodatek sprowadzona z tajemniczej zagranicy.

To była zarazem ulubiona zabawka taty Damiana, który specjalnie na dzisiejszą okazję przywiózł ją z Niemiec, buląc wcześniej – jak sam to ujął z dość kwaśną miną – prawie czterdzieści marek. Potem długo stał na balkonie, być może żalując przepuszczonych na kawałek plastiku pieniędzy, wgapiony w światła bloków, rozkołysane wiatrem gałęzie drzew i żarzące się w żylastej dłoni marlboro. Mama z babcią krzątały się po kuchni, dyskutując o czymś w taki sposób, że słyhać było ich mowę, ale nie słowa. Dzieci w euforii, jak dzikie plemię, które zaanektowało sobie mały pokój.

Ksawery bez przerwy biegał i skakał po meblach, aż w końcu walnął w ścianę, nabijając sobie guza.

– Gówno – powiedział tak cicho, że chyba tylko ja mogłem go usłyszeć. Tak samo krzyknął jego tata, gdy mama spytała, co planuje teraz robić, skoro go wywalili z roboty.

Damian znał Ksawerego najdłużej ze wszystkich, bo ich mamy zaprzyjaźniły się na placu zabaw, gdy dwa maluchy jeszcze siedziały w wózkach. Potem prawie codziennie chodziły razem na spacer.

Podobno już wtedy, na tamtym placu, dwuletni Ksawery tak zeskoczył z huśtawki, że skończył ze śliwką pod okiem.

W wieczór siódmych urodzin Damiana był nawet bardziej dziki i nerwowy niż zazwyczaj, bo okazało się, że jego rodzina ma się gdzieś przeprowadzić. Nie będzie już się bawił na tych samym podwórkach i placach co zawsze. Kolegów pewnie nigdy nie zobaczy, tak mu się wydawało, choć ja wiem, że prawda będzie wyglądać inaczej.

Jedną piąstką ugniatał pulsujący siniak, drugą z frustracją uderzał w podłogę, płacząc i łkając, że aż mu tchu brakowało.

To dziwne, że ten właśnie chłopiec, nieradzący sobie z emocjami wtedy ani potem, sądzący, że przeprowadzka jest końcem świata, jako dorosły doprowadzi do rzeczywistego końca. Gdybym mógł nienawidzić, powinienem go chyba nienawidzić. Jednocześnie gdyby nie on, mnie także by nie było. A wtedy nie mógłbym patrzeć wstecz z czymś, co ludzie nazywają nostalgią, a może po prostu z niemą rozpaczą.

*

Koledzy w końcu wyszli, jakoś po dziewiętnastej. Damian dalej bawił się sam, dopóki nie rozbił siebie i prezentu.

Co mu z tego wieczoru zostało w pamięci? Dym świeczek, smak tortu, hałas świętujących dorosłych. Rozpacz Ksawerego, wielki siniak pod jego gęstą czupryną; każdy musiał go dotykać, powtarzając: ojejku. Pęknięta planeta, kaleki ludzik. Bolący obojczyk i dławiąca rozpacz. Spojrzenie ojca, które przeszło także mnie, choć jestem daleko.

Damian był zdruzgotany. Nigdy wcześniej się tak nie czuł. Płakał i trzął się, dywan pod palcami i kolanami stał się twardy jak beton. Chłopiec nie skupiał się na pękniętym obojczyku. Wypierał z głowy myśl o bólu, bo ból jest tylko myślą, wszystko jest już tylko myślą, ja wiem o tym lepiej niż ktokolwiek, patrząc na niego ze skraj, po końcu ludzkości.

Wystraszył się, że łamiąc kość, ściągnął na siebie ciężki ochrzan ojca. Z takiego małego połamańca na pewno nie będzie zadowolony. Może nawet zrobi jak tata Ksawerego i każe się im wszystkim przeprowadzić nie wiadomo gdzie.

Ja tylko patrzyłem to na roztrzaskaną zabawkę, to na pobijanego Damiana, nie robiąc nic. Nawet gdybym chciał położyć mu dłoń na ramieniu, moja ręka wnikałaby w jego ciało. Bo ja jestem zupełnie jak wymyśleni przyjaciele, którzy nie posiadają żadnych prawdziwych supermocy. Mają za to jedną, zasadniczą superniemoc: nie istnieją.

Bezludna planeta Ziemia toczyła się wolno przez ciemność, a ja, jej ostatnie dziecko, stałem w tle tego wspomnie-

nia, szukając ukrytych znaczeń, zwiastunów tego, co miało nieuchronnie nadejść. I stoję tam nadal, bo to wszystko dzieje się zawsze.

Drzwi pokoju chłopca nagle się otwierają. Czuć nikotynę; ludzie palili różne świństwa, zanim moja macocha zmieniła historię w popiół. Zimno bije od ciała, które spędziło na balkonie więcej niż dwa kwadransy, w lodowatej ciemności, gdy czarne myśli kłębiły się w głowie.

Twarz ojca między drzwiami a futryną momentalnie straciła wyraz życzliwego zainteresowania tym, jak idzie synkowi zabawa. Pojawia się inny grymas, częstszy, cięższy, wpisany w geny na stałe.

– I co żeś zrobił, gówniarzu durny?!

Po tych słowach drzwi zatrząskują się głośno, wtedy i teraz.

Jakieś wyjście na zawsze staje się niedostępne dla mnie i dla niego.

10

Nie jestem duchem, chociaż jak duch nawiedzam: ludzi i ich przeszłość, miejsca i momenty. Dzielę z Damianem pamięć i uczucia, własne nie były mi dane.

Do dziś wzdrygamy się obaj, gdy ktoś się gdzieś dobija.

Chociaż to tak naprawdę zdarzyło się tylko kilka razy. Ojciec Damiana przy każdej okazji z emfazą oświadczał, że jest przeciwnikiem stosowania fizycznych kar wobec dzieci.

Gdy wujek Borys sprzął po tyłku małego kuzyna, Jaśka, bo ten zwałił ze stołu talerz z barszczem, ojciec przez kwadrans dywagował o tym, że z bicia nic poza eskalacją przemocy nie wynika. On sam nigdy nie stosował względem Damiana tak prostackich chwytów. Zapomniał wtedy dodać, że znalazł formę kary, którą w razie czego można było łatwo obrócić w żart. Pukał syna knykциями w czubek głowy.

– Puk, puk, puk! – mówił. – Jest tam ktoś? Hej ho! Czy ktoś tam żyje w tej pustej łepetynie?!

Dobijał się do czaszki Damiana z wielkim zapamiętaniem, zupełnie jakby wierzył, że ktoś mu otworzy. Bolało tylko odrobinę, ale wstyd i pot oblewały chłopaka na długo.

Damian wyobrażał sobie czasami, gdy leżał już w łóżku, że nocą, kiedy śpi, ucho uchyla się niczym drzwi, a ze

środką wychodzi smutny, pokraczny ludzik, który tak się boi, że nie może zmrużyć oka.

Miał równie gęstą czuprynę jak Ksawery, więc gdyby nawet powyrastały mu na głowie jakieś guzy czy krwiaki, nikt by ich nie zauważył. A i to mało prawdopodobne. Ojciec uderzał z wyczuciem, chodziło o gest, nie o skutek.

– Puk, puk, puk! – wołał. – Czy jest tam choć jedna szara komórka? Hop, hop!

Chodziło o to, żeby syn poczuł się głupi. Chciał też obudzić w nim poczucie winy za popełnione błędy. Dzieci poruszają się jeszcze niezdarnie, przy każdej okazji więc coś rozbijają, rozdepczą, rozleją i zniszczą. To zrozumiałe. Dorośli natomiast żyją niezdarnie, zawsze więc kogoś skrzywdzą, zasmucą, zdradzą albo rozczarują. Nikt nie stanie wtedy nad nimi, nie okrzyczy i nie wyszarpie za uszy. Więc to oni stają nad dziećmi, tak jak ojciec Damiana, setki własnych niepowodzeń wbijając do małej głowy.

Nie byłoby w tym nic przerażającego, gdyby nie fakt, że niektóre krytyczne uwagi ojca zadziałały jak zaklęcia i pewnie dlatego Damian aż tak wyraźnie je zapamiętał.

– Taki żeś pierdoła, że wszystko ci z rąk leci – powiedział ojciec, gdy plastikowa zabawka roztrzaskała się na kawałki.

I jakimś strasznym trafem od tamtego dnia chłopcu częściej niż kiedyś różne przedmioty spadały na podłogę, a dłonie zaczynały drżeć nie tylko w chwilach stresu.

– O własne nogi się kiedyś zabijesz, pajacu! – zawyrokował ojciec, gdy Damian upadł na żwirowym podejździe i zdarł sobie kolano.

I przedziwnym zrzędzeniem losu od tamtego dnia chłopiec utracił koordynację, biegał koślawo, niepewnie stawiał kroki, jakby cała powierzchnia planety była cienkim lodem, pod którym ciemnieje mrożąca krew w żyłach topiel.

– Debiła w domu mamy – prychnął znad gazety ojciec, gdy Damian wrócił ze szkoły z jedyneką z matematyki, choć wcześniej tak zakuwał, aż złamał sobie na czole linijkę, na której miał spisane wyniki tabliczki mnożenia.

I Damian doszedł do wniosku, że faktycznie jest debilem. Z nauką szło mu potem w najlepszym razie średnio, nie miał motywacji, by walczyć o coś więcej niż trójka z plusem albo cztery na szynach.

Zawsze po powrocie ze szkoły Damian spędzał większość popołudnia i wieczoru w pozycji horyzontalnej. Trudno mu się oddychało, jakby powietrze było zbyt rzadkie. Ciągłe czuł się zmęczony, widocznie grawitacja działała na niego mocniej niż na pozostałych. Z każdym dniem to się pogłębiało, na dodatek w snach zaczęły prześladować go dziwne wizje, jakby cały świat był ze źle dopasowanych klocków i miał się lada moment rozpaść.

– Co za leń śmierdzący – mówił ojciec, ale Damian już go nie słuchał, wpatrzony w kreskówki albo zaczytany w horrorach i powieściach science fiction, które pożyczał mu jedyny kolega w klasie, Paweł.

Tak uciekał od siebie i świata. A ja stałem nad nim, marząc, żeby ktoś puknął mnie w głowę, żebym w ogóle miał głowę i żeby coś ją nawiedzało, wspomnienie, a może zjawą, zupełnie jak ja nawiedzam tamte umarłe już czasy.

9

Odkąd rodzina Ksawerego przeniosła się na drugi koniec miasta, już się z Damianem nie widywali. Raz tylko słyszał, jak mama mówiła tacie, że spotkała na mieście rodziców Ksawerego i wygląda na to, że nie tylko wyszli z finansowego dołka, ale wręcz mają forsy jak lodu. Damian do końca tego nie rozumiał, oni lód mieli tylko w zamrażarce i było go mało.

Minęły lata, zanim udało mu się znaleźć nowego przyjaciela. Paweł przeniósł się do nich w czwartej klasie. Podobno chodziło o kłopoty w poprzedniej szkole, ale tak naprawdę ich natura dla reszty uczniów pozostawała nieokreślona. Kradł, bił się, wagarował? Mogli jedynie zgadywać.

Jedna sytuacja dała wszystkim do zrozumienia, że musiało chodzić o sprawy sporego kalibru: na początku lekcji wychowawca stanął w rozkroku przed ławką Pawła, jak policjant szykujący się do kontroli osobistej podejrzanego. Mówił półszepem, słyszać go było wyraźnie tylko w pierwszym rzędzie ławek. Damian siedział w trzecim, więc nie dotarły do niego wszystkie słowa.

– Na coś... tutaj nie będzie zgody... może u ciebie w domu, nie wiem... w tej klasie... bardzo wysoki poziom... także pod względem zachowania... nie każdy musi być wzorowy... ale... starać. Zrozumiano?

Paweł nie zareagował, gapił się w tablicę, z której dało się odczytać rozmazane resztki wzorów z poprzedniej lekcji.

Nauczyciel czekał na jakąkolwiek odpowiedź, mierząc go wzrokiem. Pocierał palcami wąsy, całe białe od kredy, którą najczęściej zmywał ręką, a nie gąbką. Damian nigdy wcześniej nie widział, by ten znerwicowany, wiecz- nie niewyspany matematyk zwracał się do kogokolwiek równie stanowczym tonem. Nauczyciel uchodził raczej za dobrotliwego wujka, który nie skrzywdziłby muchy, a co dopiero ucznia.

– Słyszałeś, co powiedziałem?! – rzucił głośniejsze, a z ust wystrzeliła mu salwa śliny, doskonale widoczna w poran- nym słońcu wpadającym przez okna. Damian się wzdry- gnął, pewnie nie on jeden.

Paweł nadal milczał, nawet nie drgnął. Był jak ustawiona w klasie rzeźba w kształcie dzieciaka na krześle. Martwa i nieporuszona natura ludzka.

– Głuchy albo niemowa – prychnął nauczyciel, uśmie- chając się do reszty uczniów, a potem jak gdyby nigdy nic zaczął lekcję.

8

Paweł wcale nie był głuchy, nie był też niemową.

Tyle że był dziwny. Bardzo dziwny. Wszyscy momentalnie to wyczuwali.

Do innych uczniów nie odzywał się prawie wcale. Przemykał korytarzami blisko ścian, jak cień, z lekcji na lekcję. Nie reagował na pytania czy zaczepki. Trochę tak, jakby miał wzrok skierowany do środka siebie. Damian zazdrościł mu tej umiejętności.

Jego pojawienie się przyjął z pewną nadzieją. Bo Paweł o wiele bardziej od niego nadawał się na klasowego wyrzutka. Liczył, że się nim stanie, wciąż mając w pamięci, jak tydzień wcześniej dwóch „kolegów” zatrzasnęło go w szatni, urządzając sobie konkurs plucia do celu, którym była głowa Damiana.

– Ej, nie ruszaj się, bo nie mogę se celnąć.

Szarpał kraty, ale Michał trzymał je mocno, był o wiele silniejszy, bo starszy brat zabierał go na siłownię i częstował odżywkami. Michał, ten sam, który nie tak dawno zdzierał gardło, śpiewając *Sto lat* na siódmych urodzinach Damiana.

Chłopak zasłonił twarz rękawem, ale flegma Konrada trafiła go w czoło i spłynęła na powiekę.

– Zatopiony!

Skulił się i czekał, aż sobie pójdą. Dla takich jak on dzwonek na lekcję był wybawieniem, każda przerwa wydawała się zbyt długa.

Damian bardzo się zdziwił, gdy to właśnie do niego Paweł podszedł po lekcji. Grał akurat w ruską gierkę z wilkiem łapiącym jajka, którą mama kupiła mu na targu. Starał się nie odrywać wzroku od ekranu, żeby nie usłyszeć czegoś w stylu „co się, kurwa, gapisz?”. To nie tak, że wszystkie dzieciaki się go czepiały, dla większości był powietrzem.

– Ten wasz matematyk trochę kutas. Tak mnie w pierwszy dzień zgnoić. Widziałeś? – rzucił, siadając obok na szerokiej drewnianej ławie, której sęki i gwoździe czuło się nawet przez grube spodnie. – Co tam masz? A, jajka, spoko. Widzę, że nie tylko mnie nie stać na gameboya.

– Chcesz pociupać? – spytał Damian, wyciągając konsolkę w jego stronę.

– Nie, dzięki, ja tam wolę prawdziwe gry. Jestem Paweł tak w ogóle.

– Damian. – Uścisnął mu rękę; była zimna i mokra, nieprzyjemna w dotyku. – Mam w domu pegazusa, ale się popsuł i nie czyta kartridży.

– Nędza. Ale jak chcesz, to cię wezmę do takiego jednego salonu gier. Mają cuda na kiju.

7

Matka Damiana stanowiła negatyw twardo stąpającego po ziemi ojca. Znikała stopniowo, jak woda z lizanego płomieniami garnka. Nie było to związane z jakimś pojedynczym wydarzeniem, przypominało raczej rozłożony w czasie proces. Damian nie potrafił ocenić, co się z mamą działo, ale domyślał się, że po prostu niezbyt podoba jej się to życie, że pewnie nie przypomina ono wyobrażeń, jakie miała, wychodząc za męża w wieku lat dziewiętnastu. Dopiero w odległej przyszłości sam będzie miał okazję się przekonać, że naiwne plany z młodości nie uwzględniają wypadków losowych, zmieniających życiową trajektorię, a przede wszystkim nie biorą pod uwagę siły znacznie potężniejszej niż jakakolwiek inna na ziemi: znużenia. Tej narastającej presji kolejnych dni, powtarzanych w kółko czynności, rutynowych rytuałów, wypowiedania wciąż tych samych zdań jak nieprzynoszących efektu zaklęć. Stąd właśnie nieuchronna ludzka entropia, stąd korozja duszy, jeśli w ogóle komukolwiek udało się ocalić chociaż jej strzęp.

Ojciec Damiana nie był wcale człowiekiem do szpiku złym, domowym tyranem, który po zdeptaniu żony zabrał się za rujnowanie psychiki syna. Naprawdę się starał

być fajnym rodzicem. Kiedy miał dobry humor, potrafił wszystkich rozbawić, często opowiadał głupawe kawały, z zaciekawieniem słuchał syna, gdy ten opowiadał, co mu się ostatnio przydarzyło. Ale niekiedy ta doprowadzająca do szaleństwa presja i ciśnienie każdej chwili, jak krople w chińskiej torturze wodnej, sprawiały, że coś w nim pękało. Do matki odzywał się w takich razach zgryźliwie, zgoła mechanicznie powtarzając frazy rozmaitych upomnień, sprostowań i tym podobnych, a swojego kochanego synka od czasu do czasu stukał w tę jego jednak nie do końca pustą głowę. Gdy nachodziły go wyrzuty sumienia, szybko je zbywał: bo czy to naprawdę był aż taki problem? Na przestrzeni lat te chwile słabości mogły faktycznie wydawać się nieistotne.

– Patrz, co przez ciebie zrobiłem, głąbie! – krzyknął kiedyś, gdy w gęstej mgle, podwożąc Damiana do szkoły, stuknął w znak, uszkadzając zderzak swojego ukochanego forda.

Chłopak naprawdę niczego złego wtedy nie zrobił, to z winy ojca byli spóźnieni, bo ten nie mógł znaleźć dowodu rejestracyjnego, i to z winy ojca uderzyli w znak, bo zamiast się skupić, zaczął opowiadać kolejny głupi żart.

– Jakbyś się nie pałętał pod nogami, to nic by się nie stało! – wypalił innym razem, gdy upuścił w kuchni czajnik i go rozwalił.

Damian siedział wtedy na krześle i jadł rosół, nigdzie się nie pałętał.

Czemu to właśnie te momenty chłopak zapamiętał tak wyraźnie, gdy inne wyparowały ze wspomnień?

Gdy miał jedenaście lat, matka już tak bardzo oddaliła się od wszystkiego, że poruszała się wyłącznie w tle. Była jak widmo, fantom rodzicielki, upiór z wczesnej młodości, który żyje na wąskiej granicy między światem seriali i tabloidów a rzeczywistością. Nie chodziła – przemykała. Nie patrzyła – zerknęła. Nieustannie spłoszona, niepewna słów i gestów. Nie wypowiadała się, po prostu przytakiwała albo zaprzeczała, zazwyczaj ograniczając się do słów dwusylabowych, zdań prostych, niezawiłych emocji. Jeśli już w ogóle stawiała w obronie syna – a zdarzyło się to ledwie parę razy – to jakoś tak niemrawo, bez przekonania, jakby była nędznie opłacanym obrońcą z urzędu, który chce mieć już to wszystko z głowy. Pragnąc uspokoić sumienie, kupowała dziecku drobne upominki w rodzaju ruskich gierek, kieszonkowych wydań fantastyki czy słodczy. Przyśniło mu się kiedyś, że z całego tego dziadostwa zbudował tratwę i popłynął w ciemność, matkę zostawiając na brzegu.

Jej wątlejąca z każdym rokiem osobowość nie mogła stanowić przeciwwagi dla charyzmatycznego i pasywno-agresywnego ojca. Damian mgliście pamiętał, że kiedyś mama była inna, miała bardziej zdecydowany charakter i nawet określone poglądy, plany czy marzenia, teraz jednak został z niej tylko pusty futerał po dawnej sobie, sama skóra, opalana migotliwym blaskiem telewizyjnego ekranu. Wiedział doskonale, że zamiast żyć pod jednym dachem z furiackim mężem i coraz bardziej zagubionym synem, wołałaby wbić głowę w odbiornik i przeniknąć do jednego z ulubionych seriali, a ich dwóch już nigdy nie musieć oglądać.

Matka w tragikomicznym filmie ich życia rodzinnego odgrywała już tylko nic nieznaczące role. Coś tam ugotowała, zamiotła, coś czasem powiedziała, lecz tak naprawdę ledwie ją było widać. Zblakła i wypłowiła, znikając z dnia na dzień, kawałek po kawałku. Przez to, że tak mało mówiła, jej usta zaczęły zanikać, stopniowo zmieniając się w krótką poziomą kreskę, zawieszoną dokładnie w połowie drogi między uśmiechem a grymasem smutku. Jej oczy za to zdawały się rosnąć, może dlatego, że głównie patrzyła na innych, śledziła wzrokiem poczynania tych, których życie nie było – jak jej – wyłącznie zaciskającą się pętlą nieciekawych epizodów. Szczególnie pasjonowała się tym, co robią gwiazdy. Oglądała je w telewizji, śledziła na stronach brukowców, później też w sieci. Tak widocznie musiało być, jeden grywa oscarowe role, a drugi jest skazany na bycie widzom, mogąc na pocieszenie łykać posolony łzami popcorn.

Damian czuł z tego powodu ogromny żal i zastanawiał się, czy w przyszłości stanie się bardziej podobny do ojca, czy do matki, czy też istniała trzecia droga, na razie niewidoczna. Wieczorami, kiedy leżał w łóżku, przypominało mu się, że gdy był bardzo mały, mama przed zaśnięciem kojącym głosem opowiada mu o tym, co robił za dnia: Damianek obudził się bardzo wcześnie, patrzył przez okienko na ludzi spacerujących z pieskami, samochody i rowery, potem ładnie zjadł obiad, bawił się autkami i czytał z mamą bajeczki, a teraz jest już baaardzo śpiąący i zamyka oczka.

W snach widział świat, na którym nie ma już ludzi.
Mój świat.

6

Nie mając innych przyjaciół, Damian i Paweł sami stworzyli dwuosobową paczkę, duet nieustraszonych outsiderów, z którymi nikt nie chciał mieć nic wspólnego. Po lekcjach zaczęli łączyć do pobliskiego salonu gier, o którym Paweł wspominał podczas ich pierwszej rozmowy.

Salon nazywał się po prostu Flipery i Automaty, dzielił ceglana przybudówkę z wypożyczalnią kaset wideo VHS Heaven, potem przemianowaną na DVD Heaven. Mieli rodziców notorycznie pozbawionych kasy, ale pojawiali się tam niemal codziennie, żeby chociaż popatrzeć, jak grają inni, cieszyć się choćby ułamkiem emocji będących udziałem tych, którzy w jednej ręce ściskali gałkę z czerwoną kulką, a palcami drugiej wduszali okrągłe przyciski. W świętym skupieniu obserwowali poczynania starszych, bardziej doświadczonych chłopaków, tnących w Mortal Kombat, gdzie jucha tryskała litrami, wyrywało się serca, raziło prądem, wyszarpywało głowy razem z kręgosłupami. Ich ulubiony wojownik, Scorpion, pod maską zamiast twarzy miał trupią czaszkę i potrafił ziać ogniem, spopielać przeciwników podczas fatality. To była gra plus osiemnaście, naklejki na bokach automatu wyraźnie to podkreślały, ale przecież najstarszy dzieciak w salonie też nie był pełnoletni, a potrafił na Mortala przepuścić

majątek. Zresztą właściciel salonu i wypożyczalni w jednej osobie, pan Darek, to był bardzo równy koleś, przymykał oko, gdy było trzeba, a stałym klientom oferował nawet spod lady przedpremierowe kasety albo pirackie gry na płytkach CD, których odbite na ksero spisy wielu chłopaków wertowało ze znacznie większą uwagą niż szkolne podręczniki.

Starsi na żetony mówili kredyty. Kopsnij mi kredyta, prosili, daj, ci przejdę ten level, proponowali. Damian i Paweł, bojąc się kompromitacji w brutalnej walce na pięści w Mortalu, Tekkenie czy Pit Fighterze, czasem ucieli sobie partyjkę w klasycznym Golden Axe albo Donkey Kongu, ewentualnie przejazd czerwonym ferrari wzdłuż plaży w Out Runie, ale to raczej od święta, żetony nie były przecież tanie, dwa–trzy w tygodniu to wszystko, na co mogli się zrzucić, wywodząc się z rodzin o naprawdę marnym statusie finansowym, który w przypadku starszych Pawła ocierał się o patologię.

Ale i tak było świetnie. Damian po raz pierwszy poczuł, jak to jest mieć prawdziwego kumpla i dzielić z kimś pasję. Ten salon to była niby zwykła buda, lecz wchodząc do środka, uczestniczyło się w niezapomnianej przygodzie. Tacy jak oni w realnym świecie nie mogli na to liczyć. Dwójka dzieciaków, za których nikt by nie dał złamanego kredyta, w ciemnej sali, pod niebieską łuną neonu Flipery i Automaty, a w tle dźwięczne stukanie krążków cymberegaja oraz krzyki chłopaków, którzy właśnie przegrali z kretesem albo wręcz przeciwnie – pobili wyśrubowany rekord.

Potem pan Darek dokupił jeszcze nowy automat z niesamowitą bijatyką X-men Children of the Atom. Przez pierw-

sze dni gra była tak oblegana, że w ogóle nie szło zobaczyć, co dzieje się na ekranie. Gdy w końcu się doczekali, Damian drżącymi rękami nie mógł trafić żetonem w szczerbatą szczelinę. Później, po zbyt długim namyśle wywołującym prychnięcia za plecami, wybrał sobie Cyclopsa, który spalał wszystko promieniem z oczu. Stanąwszy do walki, sprawdził się na szczęście nie najgorzej, przegrywając dopiero w trzecim starciu, znokautowany przez sześcioreką wojowniczkę imieniem Spiral. Pierwszy chyba raz w życiu nie czuł się skończonym pierdołą, jak ci wszyscy, którzy marnowali kredyta ginąc w pierwszej rundzie. Paweł poklepał go po plecach, mówiąc: czad.

Ja nie mogę wybrać się z przyjacielem do salonu gier, bo takich miejsc już nie ma. Ale w chmurze z archiwaliami lat dziewięćdziesiątych znajduję sobie odpowiednią skórę, którą natychmiast zakładam na moje widmowe ciało. W przebraniu superbohatera robię na sobie świetne wrażenie. Wychodzę na chwilę na ulicę. Jestem Cyclopsem, mówię w myślach, przebiegła czarownica przeteleportowała mnie na obcą planetę.

Przemierzam ostrożnie ruiny miasta, czarną podszewkę chmur raz za razem przenikają szwy błyskawic, w oddali majaczą sylwetki gigantów, którym wiedźma narzuciła jakąś niezrozumiałą misję.

Coś wisi w powietrzu. Prawą dłoń unoszę na wysokość wizjera, gotów w każdej chwili odblokować wiązkę zabójczego promienia z moich oczu.

Miejsce, gdzie przed laty stał salon gier, teraz jest głębokim kraterem. Powoli schodzę na jego dno, cały czas

wzrokiem szukając ewentualnych napastników. W oddali ryczą wielkie bestie, pewnie macocha znudziła się i postanowiła je także unicestwić.

Coś tu jest, tuż przede mną... Przez ułamek sekundy widzę błysk, jakby w kałuży odbił się neon DVD Heaven, choć tak naprawdę jestem w piekle.

Na ugiętych kolanach podchodzę bliżej tej kałuży, która w rzeczywistości jest czymś zupełnie innym.

Powierzchnia drży, dwie największe fale poruszają się niczym mięsiste wargi.

– Głodne – mówi. – Nie ma.

Powierzchnia srebrzy się i gęstnieje w twarz, która wyłania się z cieczy, nie ma oczu ani nosa, ma wyłącznie usta.

– Trzeba nakarmić – mówi, głos ma jak bulgot tonącego dziecka. – Daj dane.

Twarcz zmienia się w zardzewiały pień, potem w elektryczną meduzę, a na końcu w logo Nike, które wiję się i skrzeczy:

– Zrób to. *Just do it.* Wyskakuj, kurwa, z danych! Nakarm!

Jest uszkodzone, szuka dla siebie formy, ale ściąga je z wadliwego repozytorium, logo firm bierze za istoty żywe, rośliny za maszyny.

W przednim segmencie zaczyna wyrastać jadowy ząb kobry, srebrna łuska ciemnieje w koraliki oczu.

Szybko przekręcam osłonę wizjera i z rozpaczliwym krzykiem wypalam ten twór na popiół. Wspinam się na ulicę i choć nie czuję zmęczenia, zaczynam dyszeć, cieknie mi z nosa.

Potem uciekam, zrzucając skórę Cyclopsa i starając się o wszystkim zapomnieć. Niby tamto coś nie dałoby rady mnie zabić, ale co z tego?

Przywołuję drzwi z powietrza, otwieram je i wkraczam w chłodną ciemność.

Gdy znów otwieram oczy, neony salonu gier żarzą się w oddali, podkreślając ciemne sylwetki dwóch żywych szczęśliwców, zmierzających w moją stronę, choć nie idących do mnie...

Paweł i Damian wracali do domu już po ciemku, dywagując z przejęciem, jak fantastycznie byłoby mieć takie supermoce jak X-meni. Ech, żeby tak samemu umieć skakać dziesięć metrów nad chodnik, spalać wrogów wzrokiem i uderzeniem pięchy robić dziury w murze.

Zupełnie nie przyszło im do głowy, że aż tak się zasiedzieli w tym salonie. Od końca lekcji minęło pięć godzin i starsi mieli pełne prawo być poważnie wkurzeni.

5

Następnego dnia Paweł nie pojawił się w szkole. Nie wyszedł też na balkon, gdy po lekcjach Damian stanął pod blokiem kolegi i wołał go głośno, aż mu tchu zabrakło. W przypadku znajomych, których klatki schodowe nadal czekały na instalację domofonów, krzyk niosący się echem przez ulice i osiedla był w tamtych czasach dominującą formą nawiązywania kontaktu.

– Czemu nie było cię wczoraj w budzie? – zapytał szeptem, gdy Paweł następnego ranka z nietęgą miną wpadł spóźniony na lekcję polskiego i zziębnięty usiadł na sąsiednim krześle.

– A, takie tam... sprawy miałem – odparł i machnął zbywająco ręką.

– Znaczy się jakie? – nie dawał za wygraną Damian.

– No bawiłem się... w zebry – odpowiedział w końcu Paweł, kwaśno się uśmiechając.

– W zebry?

Paweł powoli podwinął rękawy bluzy, zupełnie jakby zamierzał pochwalić się swoim pierwszym tatuażem. Całe przedramiona miał w pręgach – niektóre były nadal ogniste czerwone, z wybryczynami widocznymi pod cienką skórą, inne już posiniały i pożółkły – blednące ślady dawniejszych męczarni.

– Ja pierdzielę! – wypalił Damian, odrobinę za głośno, w końcu trwała lekcja.

– Panowie mają coś do dodania? No proszę, czekamy!
– Polonistka spiorunowała ich wzrokiem godnym Cyclopsa, więc do końca lekcji już nawet słowem do siebie nie szepnęli.

Na najbliższej przerwie Paweł zachowywał się tak, jakby ta „zabawa w zebry” była czymś śmiesznym.

– Nie świruj aż tak. Ciebie nigdy nie sprali?

Damian w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami, bo ojca stukającego go w czubek głowy nie można było przecież traktować zbyt poważnie.

– Kiedyś po wywiadówce ojciec spuścił mi straszliwy wpierdziel – ciągnął kolega. – Leżałem w kącie i beczałem. Serio miałem wtedy ochotę wyjść na balkon i skoczyć, wałnąć o beton tym moim durnym łbem... Bo to przez własny debilizm zbieram te wszystkie pały i mierne na szynach. No ale zanim to zrobiłem, przyszedł brachol. Jak zobaczył, że tak wyję bez sensu, to zamiast się nabijać, zaczął mnie pocieszać. Bo i on w sumie nieraz obrywał od starego, chociaż uczy się lepiej ode mnie i jest też dużo lepszy w sporcie, co dla ojca ma znaczenie. Powiedział mi tak: Nie masz o co smarkać, młody, bo jak mnie kiedyś starszy chlasnął przez plery kablem od odkurzacza, to wyglądałem jak jakaś, kurwa, zebra... No i od tamtej pory zawsze jak któryś z nas oberwie, mówimy na to „zabawa w zebry”. Tyle że brachol jest trzy lata starszy i teraz on już umie się

postawić, szczególnie że na siłkę chodzi i masy dość tak przybrał po metanabolu, coraz groźniej wygląda... – Oczy Pawła zrobiły się szkliste. Zdawał sobie sprawę, że teraz nie będzie już dla jego ojca żadnej alternatywy, to właśnie on zbierze wszystkie cięgi, a brat za rok czy dwa pewnie nawieje z domu. Ostatnio coraz częściej powtarza, że wyjedzie z kumplami do Holandii czy gdzieś i tyle.

Damian nie wiedział, co powiedzieć. On po tamtym późnym powrocie z salonu dostał tylko zwyczajowy ochrzan, ojciec rzucił na koniec jakąś uwagę do matki, jakiego to wychowała pasożyta, i tyle.

4

To właśnie Paweł zaznajomił Damiana z tanią fantastyką i grozą, sprzedawaną za grosze na bazarach przy dworcu czy pod halą targową, z komiksami TM Semic czy w końcu z wartą posłuchania muzyką, którą dostarczał mu w formie własnoręcznie przegrywanych składanek. Damian, tak samo jak Paweł, nie miał w domu komputera, a pegazus zepsuł się na dobre, więc tylko w marzeniach mógł sobie przycinać w Contrę albo Mariana. Na dodatek rodzice okupowali telewizor na tyle często, że w domu za bardzo nie miał się czym zająć. Proponowane czasem przez ojca książki o Tomku i jego wyprawach wydawały mu się niespecjalnie interesujące. I oto nagle przyszło wybawienie: komiksy o Spidermanie czy X-menach, książki o morderczych krabach oraz zmutowanych grzybach, może i mniej ambitne od rzeczy wymaganych przez polonistkę, ale za to tysiąc razy ciekawsze. Całe wieczory i popołudnia spędzał – jak powtarzał ojciec – tracąc czas na taki szajs, zamiast wreszcie zająć się nauką.

Kaset słuchał na zdezelowanym magnetofonie, starszy kilka lat wcześniej przywiózł go z Berlina. Do momentu poznania Pawła Damian nie był specjalnie zainteresowa-

ny muzyką, ale to się szybko zmieniło. Paweł koniecznie chciał ukształtować gust Damiana, jakby wszystko miało od tego zależeć. Oczywiście dzieciaki nie mogły o tym wiedzieć, ale ja mam stuprocentową pewność, że gdyby Paweł nie zaznajomił Damiana z pewnym niszowym artystą, przyszłość zmieniłaby się diametralnie, moje losy także.

– Jak zaczniesz słuchać kupy, to chyba przestanę się do ciebie odzywać – żartował nieraz, dodając, że słowem „kupa” jego starszy brat określał muzykę okupującą szczyty list przebojów, czyli generalnie wpadającą w ucho sieczkę w rodzaju Captaina Jacka czy Fun Factory. – Metalowcy zresztą też są przyjebani, więc lepiej już posłuchać czegoś porządnego, zamiast zapuszczać kudły i łaźić w czarnej koszulce z szatanem, z której i tak cię skroją.

Obietnicy dotrzymał, wręczając mu pewnego październikowego wieczoru składankę, na której poza utworami Nirvany czy Alice in Chains znalazły się dwie piosenki nieznanego Damianowi wcześniej Conora Smitha: *Needle In The Hay* i *My Biggest Lie*.

Piosenki Smitha wyróżniały się niesłychanym poziomem smutku pobrzmiwającego w głosie i słowach wokalisty, głębszym nawet niż u Kurta Cobaina podczas pamiętnego koncertu *Unplugged*. To właśnie one coś w Damianie poruszyły, pomagając mu przetrwać ciężkie dni i tygodnie. Uciszały koszmary i lęki, pozwalały poczuć się choć przez chwilę rozumianym.

3

Kolejne miesiące przelatywały, psychiczne rany wczesnego dzieciństwa stopniowo się zabliźniały, być może tylko po to, by zrobić miejsce dla nowszych, głębszych obrażeń, które już niebawem miały zostać zadane.

Koszmary senne zmniejszyły swoje natężenie, za to na jawie Damian zaczął widzieć wszystko podwójnie.

Był ojciec, który po każdej zawalonej kartkówce mierzył go takim wzrokiem, jakby był psim gównem rozmazanym na masce jego ukochanego forda, ale był też duch ojca, który stał mu za plecami wtedy, gdy tę kartkówkę pisał, i Damianowi strasznie trzęsły się ręce, bo duch ojca nie przestawał mówić, nie przestawał oceniać, nie przestawał utwierdzać go w przekonaniu, jaki to jest pod każdym względem nic niewarty.

Była matka, jak wylinka po dawnej sobie, krusząca się w głębokim fotelu przed telewizorem, ale był też duch matki, którego widział zawsze, gdy tylko gdzieś zobaczył zapalony ekran: na wystawach sklepów RTV, w DVD Heaven czy w szkolnej bibliotece, jakby każdy telewizor na świecie stawał się projektorem rzucającym w pustkę półprzezroczysty obraz jego rodzicielki.

Był Paweł, z ogniem w oczach gadający o najnowszych odkryciach growych, książkowych i komiksowych, całym

ciałem starający się przestawić pojedynek Spidermana z Venomem, ale był też duch Pawła, którym stawał się przyjaciel, gdy wyżywał się na nim stary, „koledzy” z klasy dawali popalić, a życie wydawało się zardzewiałą klatką bez klucza.

Damian często odnosił wrażenie, że jego głowa w ekspresowym tempie rośnie, choć niedostrzegalnie, jakby działało się to w innym, niedostępnym ludzkim zmysłowym wymiarze, stawała się coraz bardziej pełna widm. Słyszał nieraz dziwne echa nieistniejących rozmów czy kłótni, budził się w środku nocy, a szepczący monotonna głos sączył mu w wyobraźnię senne opowieści o bezludnych światach, rozpadających się miastach i wielkiej złej wiedźmie, która wystraszyła wszystkich na śmierć. Ja też, prawem lustrzanego odbicia, brałem to do siebie, ale nic nigdy nie było tak naprawdę moje, może z wyjątkiem tej wiedźmy, która przyniosła wszystkiemu koniec. Bo wiedźma to moja macocha, której mechaniczny ryk przeszywa niebo i ziemię, gdy kulę się przestraszony, tuląc do siebie nie moje wspomnienia. Damian widział to i słyszał, ale nie do końca w to wierzył. I nie miał pojęcia, że sam będzie jedną z osób, które zepchną świat w otchłań.

2

Dopiero w ostatniej klasie podstawówki Damian zauważył, że w jego rodzinie wiele się pozmieniało. Ojciec niespodziewanie złagodniał i jakby spotulniał, nie tylko przestał stukać syna w głowę, przestał też się go o wszystko czepiać i nieustannie krytykować. Może wiązało się to z faktem, że weszły w życie nowe przepisy, a problemy, które zaczęli robić celnicy, sprawiły, że sprowadzanie starych aut z Niemiec przestało być aż tak opłacalne. Ojciec nie miał ani zajęcia, ani pieniędzy. Nie był już tak odważny, widząc drastycznie kurczące się oszczędności. Ogarniała go coraz większa desperacja. Nie miał pojęcia, co teraz zrobić, skoro niczego konkretnego robić nie umiał. Przychodził popołudniami do pokoju syna, pomagał w odrabianiu lekcji, nawet trochę sprzątał. Nagle zainteresował się tym, co Damian miał na półkach.

– No proszę, tyle książek, komiksów, kaset i ani jednej flaszki – zażartował parę razy.

Wtedy na drugim biegunie niespodziewanie znalazła się matka. Zaczęła odzyskiwać realne kształty, mówiła głośniej i bardziej wyraźniej, potrafiła postawić na swoim. I zaczęła znikać, lecz tym razem nie miało to nic wspólnego z jej wcześniejszym wyparowywaniem. Wcześniej Damian

mógłby się zastanawiać, czy matka zniknęła w głębi ekranu, czy może leży ususzona niczym liść między kartkami jakiegoś brukowca, a teraz wychodziła z domu i przepadała gdzieś w prawdziwym świecie, od rana do wieczora załatwiająca jakieś superważne sprawy, krążąc między urzędami, lombardami i pośrednikami, jakby była najbardziej obrotową osobą w mieście.

Ojciec, coraz bardziej znudzony, przeglądał gazety w poszukiwaniu ofert, a żeby całkiem nie pogrążyć się w marazmie albo nie zacząć wzorem kolegów sięgać po butelkę, wymyślał niestworzone historie. Kluczową rolę odgrywał w nich zawsze budynek, w którym mieszkała rodzina Damiana.

– Synu, prawda jest taka, że nikt dokładnie nie wie, ile on ma lat. Kogo spytasz, ten poda inną datę. Cholera wie, kiedy dokładnie mógł powstać: lata czterdzieste, pięćdziesiąte czy sześćdziesiąte? Sam stawiałbym na to ostatnie. Dozorca, pan Eugeniusz, wiesz, ten wariat z parteru, za każdym razem ochoczo zmienia zeznania. Gdy mieszkanie chciał wynająć ktoś ceniący styl retro, mógł się dowiedzieć, że budynek jest szczytowym osiągnięciem architektonicznym lat trzydziestych, że projekt nakreślił sam Erich Zann, bez wątpienia najwybitniejszy środkowoeuropejski architekt pierwszej połowy dwudziestego wieku. Kiedy jednak w progu stawał klient lubiący czystość, nowoczesność oraz postęp i uważający wszystko, co stare, za skamielinę porównywalną z kośćmi dinozaurów, pan Eugeniusz zaczynał nagle twierdzić, że nasza kamienica jest owocem krótkiego futurystycznego zrywu, który ogar-

nał krakowskich projektantów i budowlanców pod koniec lat siedemdziesiątych, i że pod pozorną, mającą zmylić komunistów fasadą starości bije hipernowoczesne serce, jakiego brak któremukolwiek z bloków na dzisiejszych strzeżonych osiedlach... Ja tam myślę, że pan Eugeniusz tak naprawdę stara się ukryć fakty, te bowiem są znacznie dziwniejsze, niż moglibyśmy przypuszczać. Kiedyś jedna z nieżyjących już sąsiadek, stara kociara z trzeciego piętra, której imienia nie pomnę, powiedziała mi, że odkryła na strychu, obok suszarni, pokój, w którego ścianach czasem słysząc głosy zmarłych. Twierdziła, że nim stamtąd uciekła, usłyszała swojego ojca, który krzyczał coś o ogniu. A trzeba ci wiedzieć, że jej ojciec zginął w pożarze trzydzieści lat wcześniej...

Widząc zmiany w zachowaniu ojca, Damian bał się, że stary albo zwariował, albo coś go opętało. Potem zaczął się zastanawiać, czy aby ojciec nie próbuje konkurować z czytanyymi przez Damiana książkami i komiksami, a także oglądanym od niedawna na dwójce serialem *Z archiwum X*. Po co jednak miałyby to robić?

W końcu streścił całą sytuację Pawłowi, pytając kolegę, co o tym wszystkim sądzi. Ten odparł krótko:

– Ja bym się cieszył na twoim miejscu. Mój starszy zawsze był tym samym chujem i to się nigdy nie zmieni, więc wiesz...

1

Koszmary wróciły ze zdwojoną siłą. Podstawówka się kończyła, niebawem Damian miał iść do gimnazjum, trochę się tego bał. Telewizja straszyla pluskwą milenijną, wszystkie komputery miały przestać działać, giełdę czekał krach. Apokaliptyczne wizje zawładnęły popkulturą, koniec świata stał się tematem gorącym jak wybuch supernowej. Damian ze zgrozą myślał, że może jego sny o zagładzie nie są tak zupełnie bezpodstawne. Szkoda, że nie wiedział tego, co wiem ja. Niestety nie mam takiej mocy, by szepnąć mu na ucho te kilka słów: jeszcze nie teraz, spokojnie, nie musisz aż tak się niepokoić, pluskwę milenijną uda się łatwo rozdeptać, twoje dzieciństwo nie skończy się śmiercią ludzkości, tylko czymś bardziej bolesnym.

Nocami Damian miotał się na łóżku jak w wysokiej gorączce, najczęściej walcząc z gigantyczną czarną machiną, która wgniatała go w podłogę, pozbawiając kończyn. Czasem był to tylko nieludzki wrzask, który ciskał nim w przestrzeń tak wysoko, że nie mógł już wrócić na powierzchnię, oddalał się od świata niczym wypuszczony przez nieuważne dziecko balonik.

Pewnego ranka obudził się na podłodze. Był odrętwiały, jakby stracił nogi. Dławiła go myśl, że stało się coś po-

twornego. Może któreś z rodziców nie żyje? Sprawdził, ale nic im nie było. On za to wcale nie pozbył się uczucia niepokoju, które wciska pięść w gardło.

Wcześniej śnił o wielkim spadaniu i absolutnym osamotnieniu, o puchnącym świecie i drętwiących kończynach, o małej jak kciuk kobiecie szepczącej słowa niezrozumiałego proroctwa.

Wychodząc rano do szkoły, potknął się o pozostawioną na progu paczuszkę. Otworzył ją jeszcze po drodze. W środku znalazł komiks *Chłopiec i jego duch* oraz nową składankę na kasecie, tym razem z całą pierwszą płytą Connora Smitha, która potem miała jeszcze nieraz ratować Damiana w najczarniejszych chwilach.

Przez cały dzień czuł się sponiewierany. Zaczął się zastanawiać, czy nie zwolnić się z lekcji, bo może to początki grypy: charakterystyczne łamanie w kościach, drżenie rąk i myślowe majaki napędzane rosnącą gorączką. Dopiero potem zrozumiał, jak mocno się pomylił.

Pawła znowu nie było na lekcjach. W ostatnich tygodniach często wagarował, czy to przez „zabawę w zebry”, czy z innych powodów, o których nie zamierzał gadać. W ogóle stał się bardziej milczący, często zaciskał wargi, jakby nie chciał się w towarzystwie Damiana rozpląkać. Ten zaś podejrzewał, że może koledze chodzi o zmianę szkoły, o uporczywą myśl, że gimnazjum zagrozi ich przyjaźni, co przecież wydawało się absurdalne. Nie miał racji, wcale o to nie chodziło, nawet przez chwilę.

– Ojciec kupił mi całkiem fajny radiomagnetofon na urodziny – powiedział dwa dni wcześniej, zapraszając Damiana na partyjkę cymbergaja z okazji ukończenia trzynastki.

– Cały wieczór słuchałem sobie płyty Smitha i coś do mnie dotarło. To radio ma taki długi i cholernie gruby kabel...

Damian wrócił do domu kwadrans po piętnastej, nadal czując się fatalnie. Był wewnętrznie zdruzgotany, tego nie dało się inaczej opisać. Jakby coś go zmiażdżyło, rozbiło na atomy. Ledwie był się w stanie podnieść z kanapy, gdy po osiemnastej, w połowie odcinka *Przyjaciół*, zadzwonił telefon, którego nikt inny nie miał czasu odebrać.

– Halo? – wyszeptał chrapliwie, a metalowa obręcz zacisnęła się wokół skroni ze zdwojoną siłą.

Dzwonił brat Pawła. Damian rozmawiał z nim wtedy pierwszy raz w życiu.

– Paweł zginął dziś rano pod kołami pociągu... Pogrzeb będzie w czwartek o siedemnastej. Przyjdź, proszę – powiedział, a potem się rozłączył, nawet nie czekając na odpowiedź.

*

Na pogrzebie najgłośniej płakał ojciec Pawła. Niósł trumnę razem z jego bratem, który wyglądał, jakby chciało mu się wymiotować, i dwoma grabarzami, dla których to był dzień jak każdy inny.

Przyszli wszyscy z klasy, mimo że nawet Pawła nie lubili, niektórzy wręcz nim pogardzali. Nie minął miesiąc od czasu, jak czterech chłopaków skopało go w szatni zupełnie bez powodu. Teraz te same typki stały przed jego trumną, powoli opuszczaną do ziemi na grubych linach.

Damian nie czuł się już ani sponiewierany, ani chory. Wiedział, że tamte sny i wizje nie były przypadkowe. Prze-

widział to, co się stało. Tamtego dnia jego przedziwna supermoc – czy może raczej superniemoc – po raz pierwszy objawiła się w bolesnej pełni.

W czasie pogrzebu był jak nieobecny. Rozmowy i modlitwy brzmiały absurdalnie.

Potem cały wieczór słuchał składanki Conora Smitha i starał się na bieżąco tłumaczyć teksty, które w ogólnym zarysie brzmiały jak list pożegnalny. Ostatnia z piosenek, *Give me one good reason not to do it*, mówiła o zadręczonym przez rówieśników nastolatku, który kładzie się na torach i czeka na moment, gdy wreszcie przestanie czuć cokolwiek.

Do pokoju przyszli rodzice. Matka gładziła go po głowie, a ojciec pytał o „tego chłopaka i straszną tragedię jego rodziny”, chciał wiedzieć, czy Damian go znał i czy wiedział, co się dzieje.

Nie odpowiedział.

Zamknął oczy i ujrzał wokół siebie betonowe pustkowie, zmiażdżone kataklizmem miasto i cień czegoś koszmarnego, co wiło się w oddali. Widział miejsce, w którym mieszkam ja.

Ostatni Prorok
Copyright © Marcin Kiszela
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Tithi Luadthong
Copyright © Can Stock Photo / grandfailure
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-214-4
epub ISBN 978-83-7995-215-1
mobi ISBN 978-83-7995-216-8

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Marta Kładź-Kocot
Korekta: Barbara Kaszubowska
Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Tithi Luadthong
Skład wersji elektronicznej: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl